ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VIII. Warszawa, dnia 29 lipca 1916 roku. № 31.

Życie w teatrze.

Żyjemy wiele na zewnątrz. Nasze współczesne życie kształtuje się poza domem. Stąd też wypływa waga, jaką przywiązujemy do teatru.

Z roku na rok powstają nowe teatry, z roku na rok wzrasta interesowanie się sceną.

Książka jest protektorką domowego ogniska. Wymaga samotności, skupienia i przemyślenia, wymaga spokoju i kompletnej izolacyi. W sali teatralnej, bądź na dramacie, bądź też na farsie, wytwarza się stan ogólnego napięcia, wspólny wszystkim i mało podatny do indywidualnego rozwoju. Tutaj myśli wszystkich zawisają nad jednem i tem samem; wszyscy przeżywają tę samą chwilę; wszyscy śledzą za biegiem jednej i tej samej akcyi; wszyscy są sędziami i obrońcami jednej i tej samej sprawy.

I do teatru uczęszcza mnóstwo osób. Jest on ulubioną rozrywką. Z wszystkich, tak zwanych intellektualnych rozrywek, jakich dostarcza sztuka, najulubieńszą i najsilniej pociągającą zastępy ludzi jest — teatr.

Teatr jest przedłużeniem życia, jest jakgdyby dalszym ciągiem, wypowiedzeniem się, zrealizowaniem i dokonaniem tego, co miało miejsce, lub miejsce mieć mogło w rzeczywistości.

Ta ciągłość życia w teatrze jest też najważniejszą przyczyną, dla której ludzie wszystkich sfer i rozmaitych temperamentów, uczęszczają tak chętnie na widowiska teatralne.

I nie da się zaprzeczyć, że w teatrze interesuje tylko, zawsze i przedewszystkiem *życie*, stosunek życia do człowieka i człowieka do życia.

To, co jest najważniejszym problematem dla człowieka—bez względu na jego usposobienie, czy szuka uogólnień filozoficznych, czy po powierzchni rzeczy przechodzi — to, co stanowi przedmiot jego myśli, musi mu ze sceny odpowiedzieć.

A tem najważniejszem, kto wie, czy nie jedynem zagadnieniem, jest życie w swoich najrozmaitszych fazach, przemianach, cieniach i odcieniach.

I sztuka dramatyczna jest piękna, o ile idzie w kierunku życia. Brak jej celu, o ile się odeń oddala.

Dzieło na scenie musi być ludzkiem, musi zapuszczać korzenie w sercach żyjących.

I jeżeli jest takiem, jeżeli wnosi chociażby jeden moment istotnego przeżycia, myśli, uczucia, interesuje i interesować nas będzie poprzez czas i warunki, w jakich powstało.

Gdy nas wzrusza tragedya Edypa-króla lub Prometeusza źle skowanego, to idziemy za głosem uczucia, to przemawia do nas siłą ludzkiego cierpienia. Gdy śmiejemy się z komedyi Arystofanesa, to źródłem naszej radości są ułomności ludzkie, które przetrwały od czasów starożytnych.

Żaden historyczny dramat, poza zewnętrzną stroną, dekoracyjną, nie jest w stanie przyciągnąć, jeżeli nie jest dramatem, którego podstawy *uczuciowe* nie są pokrewne cierpieniom współczesnym, o ile istotne życie nie przedziera się poprzez obcą, często zimną i nieciekawą formę.

Dramat, posiadający uczuciowo i wewnętrznie nieprawdopodobne sytuacye, musi upaść. Dramat musi być w najogólniejszym znaczeniu tego słowa zrozumiałym. I nie idzie tu o poszczególne, drobne fakty łatwe lub trudne do ujęcia, lecz o sam prąd życia.

Zatem w dramacie idzie przedewszystkiem o napięcie życiowe.

Zależnie od siły i talentu autora dramatycznego, dramat bywa syntezą życia, jego usymbolizowaniem, upostaciowaniem poszczególnych uczuć, lub też, poprostu ich fragmentem.

Teatr starożytny Sofoklesa, a następnie teatr nowożytny Shakespear'a, Racine'a, Calderona, Słowackiego daje obraz symboliczny, wyolbrzymienie życia, uczuć i myśli.

Te wielkie dramaty wielkich uczuć i wielkich namiętności mają swą trwałość i ciągłość w teatrze, są szeregiem ogniw splatających się w jedno wielkie koło życia. I dla nich właściwie powstał teatr, i na nich się opiera.

Teatr współczesny interpretuje współczesne życie. Dramat sceniczny jest na każdym kroku dalszym ciągiem dramatu życiowego, ekspozycyą dramatu wewnętrznego.

Możnaby wprawdzie rzec to samo o powieści; lecz gdy czytając książkę musimy *fantazyować* życie, dopełniać obrazami, szukać i wyobrażać sobie bohaterów, w teatrze ludzie żywi stają przed nami. Wewnętrzną treść daje autor, powłokę zewnętrzną stwarza aktor — i oto bohater, bohater z krwi i kości.

Teatr jest lustrem, w którem społeczeństwo siebie ogląda. Sympatye i antypatye polityczne, problemy psychiczne, nastrój chwili, obyczaje, ideały muszą znaleźć swój odpowiednik. Zarówno moda, swawola, jak też głębsze ideowe dążenia i tęsknoty mają swój wyraz na scenie.

Publiczność uczęszczająca do teatru znajduje to, czego jej potrzeba, bądź dopełnienia, bądź uzewnętrznienia nastroju, bądź wypowiedzenia tego, co ją nurtowało!

I dramat jest często wytłómaczeniem życia, uproszczeniem sytuacyi. To, co wydawało się trudnem, niezrozumiałem i niewykonalnem, tutaj staje się nieodwołalnem. Odwaga z jaką się wszystko dzieje, jest przekonywającą. Zdanie paradoksalne, że życie naśladuje sztukę i dąży jej śladem nabiera cech prawdopodobieństwa: *życie* w dramacie pobudza do życia w rzeczywistości.

Wrażenia, jakie się wynosi z teatru są najróżnorodniejsze. Zależą

nietylko od problemu, jaki podaje sztuka, nietylko od stopnia zainteresowania, jakie budzi, ale i w jakiej mierze utwór ten przeżywany. Czy stać nas na objektywizm wobec dramatu, czy też pod dane sytuacye, kolizye siebie podsuwamy i siebie transponujemy na scenę.

Zaganienie, z którem najczęściej spotykamy się na scenie jest miłość. Dowcipne zdanie La Rochefoucauld'a, że wiele osób by nie kochało, gdyby nie słyszało o miłości, nie da się ani potwierdzić, ani też zaprzeczyć, albowiem niemal jedynym tematem teatru współczesnego jest miłość. Ona stanowi o losie bohaterów, ona jest źródłem szczęścia, lub przyczyną ruiny; ona narzuca się wbrew wszelkim przewidywaniom i ona zbawia stęsknionych.

Nieliczne dramaty narodowe i dramaty z tezą społeczną niedługo utrzymują się na repertuarze jeżeli pierwiastek erotyczny nie łagodzi choć trochę tej *drugiej* rzeczywistości, którą publiczność najchętniej wyklucza z widowisk teatralnych.

Miłość i tylko miłość dominuje na scenie; po jej prawdę, czy też złudzenie dążymy do teatru.

Cały współczesny teatr kręci się dokoła tej samej osi. Zasługa nowych utworów nie leży nigdy w temacie, lecz w tonie, akcencie i atmosferze jaka otacza akcyę. Czuje się nowy realizm życia, który wnosi każda dobra sztuka.

Utwory współczesne chociażby Caillavet'a i de Flers'a lub Bernsteina interpretują najwspółcześniejsze wrażenia i namiętności ostatnich lat, są odbiciem nastroju chwili, którą żyje cała publiczność.

Sentymentalne, liryczne, uczuciowe nastroje komedyj Caillavet'a i de Flers'a, Capus'a, Tristan Bernard'a, Maurycego Donnay'a i tylu innych fabrykantów sztuk francuskich, cieszących się ogromnem powodzeniem, są tem życiem, jakiego łaknie widz. Są tu sytuacye dosyć drastyczne i w miarę nieprzyzwoite, zabawne, nieoczekiwane, dramatyczne, romantyczne — ale wszystko kończy się dobrze i przed ołtarzem. Nawet pary, obchodzące jubileusz dwudziestopięcioletniej wolnej miłości, w ostatnim akcie legalizują swój związek. Cnota zwycięża, idealizm tryumfuje.

Nerwowy, gorączkowy nastrój Bernsteina i Bataille'a, ekspansywne natury bohaterów, kolizye istotnie dramatyczne, to znowu inne współczesne życie, które przemawia szczerzej, od ludzi, choć niemniej od nich prawdziwie.

Innem zgoła życiem tchną dramaty Wedekinda, Schnitzlera, Bahra lub Wieda. Niema w nich powierzchownego a wytwornego *badinage'u*, przyrodzonego francuskiemu usposobieniu, ani też pełnych temperamentu, wybuchowych scen. Tutaj odsłaniają się maski i przemawiają same instynkta, niezawsze piękne, a często nawet i śmieszne.

Inny gatunek wrażeń wprowadza na scenę Bernard Shaw. Utwory jego, właściwie obrazujące życie angielskie, są szeregiem policzków wymierzonych błędom i wadom narodowym. A że większość tych wad, błędów i śmiesznostek ma cechy raczej ogólno-ludzkie, więc też na obcych scenach cieszy się Bernard Shaw szczerem uznaniem.

Z utworów swych Bernard Shaw wyrzucił najzupełniej akcyę. Sytuacya aktu pierwszego często niczem się nie różni od sytuacyi aktu ostatniego. Prawda lub kłamstwo, uczucie lub obłuda, którem się bohaterowie obdarowali wzajem, w małej mierze wpływa na życie bohaterów. Bernard Shaw lubi rozmawiać ze sceny, lubi odsłaniać skrawki myśli, strzępy uczuć i śmiesznostki, które tak chętnie oglądamy... u innych.

Nasz repertuar teatralny ostatnich kilku lat jest bodaj czy nie najlepszem i najdokładniejszem zilustrowaniem życia.

Brak w nim było absolutnie ciągłości ideowej, wyrazistości kierunków sztuki. Dzieła Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego i Wyspiańskiego pojawiały się, jak meteory. Teatr nie kształcił publiczności, ale naginał się do jej najmniej wybrednych wymagań, wystawiając *to, co publiczność lubi*, to, czego chce, to, na czem się bawi, lub co zaspakaja jej głód nerwów.

Stąd ta dziwna rozbieżność, nieproporcyonalność i dzieł i autorów. Stąd też niebywałe skoki od skrajnego naturalizmu, utworów Zapolskiej do poetycznych marzeń Wyspiańskiego.

I we wszystkiem kolejno a czasem jednocześnie lubuje się publiczność, przerzucając z niebywałą łatwością z nastroju w nastrój, wszędzie i zawsze szukając życia.

Na zasadniczem tle utworów zagranicznych, przeważnie francuskich, pojawiają się na naszym repertuarze utwory naszych autorów, które nietylko dorównywują, ale przeważnie przewyższają sztuki obce.

I tu przemawia życie, czasem drogie, czasem przykre, czasem pogodne, czasem smutne, czasem śmieszne, lecz w każdym razie blizkie i nasze.

Ten potok życia przepływa przez wszystkie utwory, wije się częstokroć dziwaczną wstęgą, lecz zawsze słyszymy jego rytm.

Karykaturą jest życie w utworach Zapolskiej. Panie Dulskie, kobiety bez skazy, galerya Ahaswerów, wszystko to typy groteskowo-tragiczne.

W kierunku prezentowania na scenie takiegoż życia i takichże typów poszło kilku mniej i więcej zdolnych dramaturgów. Lecz gdy w istocie talentu Zapolskiej leży ów naturalizm szpetotą swą przerastający rzeczywistość, — fotografowanie życia, kopiowanie, wyławianie zeń motów i podsuwanie publiczności nic wspólnego ze sztuką niema.

W karykaturach także lubuje się bujny talent Adolfa Nowaczyńskiego. Posiada on najzupełniej indywidualny sposób patrzenia na życie, które szeregiem obrazów bądź współczesnych, bądź historycznych rzuca przed oczy widza.

Nowaczyńskiego nurtuje prawdziwa pasya, nienawiść do płaskości, snobizmu, obłudy, małpiarstwa ducha. Zrzuca więc śmiało maski, nawet z tych, do których przyrosły z tytułu tradycyj i przeszłości. Strąca z piedestałów i godzi mieczem satyry.

Znacznie łagodniejszą jest karykatura życia, którą na scenę wnosi Włodzimierz Perzyński. Bohaterów swych prowadzi do panoptikum; tam przed lustrami wklęsłemi i wypukłemi stawia swoją galeryę i przygląda się ich „cnotom" kardynalnym: głupocie, snobizmowi, próżności, kabotynizmowi, obłudzie... Każda z tych cnót inaczej się w owych zwierciadłach odbija — a właśnie ta dziwna nieproporcyonalność jest wyborną karykaturą życia w sztukach Perzyńskiego.

Z prawdziwą obojętnością odnosi się Perzyński do ludzi, którzy przychodzą doń z rzeczywistości; nie cieszą go cnoty, ani nie martwią wady, lecz conajmniej bawią usterki i powikłania będące źródłem śmiechu.

Życie zamożnej burżuazyi i półświatka, typy warszawskie maluje z prawdziwą maestryą Perzyński i daje szeregi pociesznych komplikacyj pełne szczerej, wzgardliwej wesołości.

Sporo nerwu życiowego posiadają też utwory Gorczyńskiego. Ale po kilku sztukach barwnych, interesujących, szczerych, obfitujących w charaktery świeże i ciekawe młodzieży naszej, zaprzestał pisywać dramaty.

Sztuki, pod względem techniki teatralnej, naprawdę skończone daje Stefan Krzywoszewski. Transponuje on życie do teatru całokształtem obrazów. I to, co przenosi na scenę jest zawsze znamienne, zawsze ciekawe i zawsze posiada miarę artystyczną.

Większość dramatów Krzywoszewskiego jest sztukami obyczajowemi; w dwóch przedostatnich przeprowadził ciekawy eksperyment połączenia rzeczywistości z marzeniem, codzienności z fantazyą. Udało się to najzupełniej i utwory te wniosły na scenę nowe walory *życiowe*.

Pełne prawdy, siły, talentu są dramaty Tadeusza Rittnera. Wżywa się on w dusze ludzkie prawdziwe. Daje też dusze nerwowe, bez woli, nie zdolne do jakiegokolwiek czynu, których losy znaczą się dziwacznemi zygzakami. Cała współczesność maluje się w tych przepięknych dra-

matach, owianych szczerą i z głębi ducha płynącą poezyą. Przejaskrawione i niedopowiedziane barwy życia odtwarza Rittner. I zaspakaja najdalej idące tęsknoty artystyczne.

Takiem mniej-więcej było życie w teatrze, po które publiczność sięgała z życia codziennego.

Nowe warunki w jakich się znajdujemy, pozwolą nam na *pełnię* życia, która nam też będzie musiała odpowiedzieć ze sceny.

Tej pełni życia teatralnego, tego świeżego odżywczego głosu trzeba nam.

H. Jelenkiewicz.

Gustaw Daniłowski. POWIEŚĆ.

LILI.

15

Lili przymknęła oczy i leżała nieruchomo, a jej blada twarz w otoczeniu trochę rozwichrzonych włosów wyglądała, jak kamea w złotej oprawie.

Regularne jej rysy, wysubtelnione cierpieniem, czyniły wrażenie jakiegoś nieziemskiego zjawiska, tkwiło w nich jednak wzruszające piękno, pełen melancholii czar i ten zagadkowy urok, który miewają nawiedzające w snach, nieplastyczne jednak dostatecznie wyraźnie marzenia.

— Śpi! — szepnął Stefan, kładąc palec na ustach, gdy na progu stanął Brunon.

Lili istotnie spała.

Obudziła się dopiero pod wieczór, czuła się jakoś nieswojo, ale przynaglana przez Brunona musiała jeść więcej, niż zwykle. Przy końcu kolacyi rozruszała się, ożywiła i nawet ślady rumieńców wystąpiły jej na twarzy.

Gdy przyszedł czas spoczynku, oświadczyła, że jej się spać zupełnie nie chce.

— No, to ją baw, Stefanie, ja muszę jeszcze popracować, a jutro wypadnie mi wcześniej wstać: musimy splantować jednę ulicę.

Spojrzał na zegarek.

— Za godzinę dasz jej łyżkę tej mikstury — wskazał na flaszkę.

— No, Liluś — pocałował ją w rękę — nie będzie dużo mówić i postara się zasnąć.

— Zasnąć — wymówiła Lili, gdy wyszedł — gdyby to można na rozkaz spać, śnić, czuć, czynić wszystko — możeby to było i dobrze.

— Wątpię — zauważył Stefan— życie by straciło wszelki urok bez tej swobodnej gry uczuć, instynktów, chęci i pragnień.

— O tak — zamyśliła się Lili, leżąc na wznak z podłożonemi pod głowę dłońmi, przyczem zsunęły się luźne rękawy jej matinki, odsłaniając białe, alabastrowe ramiona, z pod ażurów błyszczały dopół obnażone, zlekka dyszące, pełne pokus piersi.

Stefan mimowoli przymknął oczy, czując, że drży i przez zmrużone powieki chłonął ją oczyma.

Lili poznała wymowę tego wzroku, szybko spuściła ręce, zasłoniła rzęsami źrenicę, czując prawie z przerażeniem, podnoszącą się w niej zwolna ciepłą, wibrującą falę, od której wzdymają się piersi i słodko rozchylają usta.

— Lili — porwał ją w objęcia Stefan i począł całować i ściskać, rwać obłąkanemi rękoma wstążki na ramionach.

Nieprzytomny, jak przez mgłę słyszał jej szlochające szepty:

— Stef, puść mnie Stef!...

A potem poczuł słodkie, pieszczotliwe na szyi objęcia...

Gdy oprzytomniał, ujrzał jej twarz upojną, ale przeraźliwie bladą z zastygłemi łzami wstydu w powiekach, podobną do tej, jaką była, gdy ją ujrzał poraz pierwszy.

Rozrzewniony począł całować jej policzki, oczy i czoło, powtarzając jej imię.

— Puść mnie Stef — posłyszał dziwnie bolesny jej głos.

Usunął się urażony, potem znów się zbliżył, by powiedzieć jej dobranoc, i spostrzegł, że ma cierpiące, spieczone wargi, jakby zaszłe szklistą powłoką, męczeńskie oczy i wyraz twarzy zastygły i jakby martwy.

— Dobranoc — wymówiła ściągniętemi ustami, obróciła się i wtuliła twarz w poduszki.

Świda westchnął, udał się do swego pokoju i czuł się trochę nieswojo, w półśnie dopiero wróciła i rozpłynęła się w nim słaba, ale pieszczotliwa fala doznanej rozkoszy, którą ukołysany, zasnął.

Wstał późno i gdy z onieśmieleniem wszedł do pokoju Lili, zastał przy niej Brunona.

Podała mu rękę, nie odrywając oczu od surowego oblicza architekty, na którego patrzyła wzrokiem jakby winowajczym, niezwykle serdecznym i nieco żałosnym. Wreszcie spojrzała na poetę ukradkiem i rzekła z wyrzutem:

— Widzisz, zapomniałeś mi dać lekarstwo, Brunon poznał, że nic nie ubyło z flaszeczki i jest bura, w dodatku zapowiada, że będzie sam czuwał, bo ty jako pielęgniarka jesteś na nic.

Muszę się zgodzić na tę decyzyę na czas pewien.

Mówiła wszystko sztucznie żartobliwym tonem.

— Brunonie, istotnie zapomniałem — począł się tłómaczyć zawstydzony poeta, ale na przyszłość...

— Niema o czem mówić — przerwał trochę oschle Brunon, — co się stało, nie wróci.

— Tak, nie wróci...

Ze szczególnym akcentem powtórzyła Lili, patrząc w twarz Stefana.

Stefan przybladł zlekka, a gdy Brunon wyszedł, po długiej pauzie ośmielił się zapytać:

— Jak mam rozumieć to „nie wróci"?

— Nie wiem sama, bezwiednie na usta nawinęło mi się to słowo, może słuszne; nie mówmy o tem lepiej, czuję, że nie jesteśmy zupełnie w porządku, a to, co mi powiedział Brunon — zaczęła mówić gorączkowo — wprost mnie przeraża...

— Okazuje się, że jemu, który sypia, jak kamień i nie doświadcza nigdy koszmarów, dziś się śniło, że jakieś drobne ręce ściskały mu gardło... drobne, więc może moje, lub twoje...

— Lili, cóż z tego?

— Nie mów tak, ja jestem tym wstrząśnięta do głębi, gdyby tak było w istocie, że to nasze dłonie, byłoby to straszne!...

— Tak, Stef, krzywo poszło mi życie i naprostować już się nie da...

— Czy można zwykły zbieg okoliczności brać seryo? — próbował perswadować Stefan

— Mój drogi, wszystko jest właściwie zbiegiem okoliczności, jakąś posupłaną siecią, która nas zagarnia, plątaniną, w której się trudno rozeznać — mnie się zdawało wszystko tak proste, dające się tak łatwo rozwiązać, a jednak — pomyśl sam — czy ja mu o tem, co zaszło — płomień przeleciał jej po twarzy — powiedzieć mogę? ośmielę? jemu, który z takiem zaufaniem zostawił nas sam na sam.

Stefan milczał, czuł się dość posępnie i dopiero rozchmurzył się na myśl o dymisyi, sądząc, że czas wszystko naprawi. Postanowił skorzystać z wolnego czasu, by zwiedzić miasto i tegoż wieczoru wybrał się do teatru.

Brunon czuwał przy Lili, której otwarły się jakby za długo zamknięte upusty niezwykłej serdeczności i wprost chorobliwej tkliwości.

Co moment brała go za rękę, wodziła nią sobie po policzkach, całowała raptem, a gdy się pochylał nad nią, brała w ramiona jego głowę i rozczesywała palcami płowe włosy.

Pieszczoty te wprawiały Brunona w stan niezwykłego rozrzewnienia. Czuł, jak mu, niby wosk, topnieje jego męskie serce, cisną się na usta jakieś niedające się ująć w słowa delikatne uczucia, rodzą się w oczach czyste łzy.

Któregoś wieczoru przytuliła się do niego i szeptała na ucho:

— Czemu Brunon nie chce mnie nigdy, jak dawniej, pieścić, czy mnie już nie kocha? Brunon drgnął.

— Lili! — zawołał, głos mu się zwinął z nadmiaru wzruszenia.

Lili przygarnęła jego głowę do piersi, z miłosną twarzą usunęła mu się w ramionach, miała na ustach wyznanie winy, chciała powiedzieć, zaczęła nawet mówić, ale jej słowa zginęły w zmąconej świadomości, zalanej rozkoszą.

Następnych dni Lili była niezwykle małomówna i jakby obu im obca.

Dopiero, znalazłszy się sam na sam ze Stefanem, powiedziała z rozdzierająco smutnym uśmiechem:

— Dopuściłeś się jednego grzechu, pewnej małej zbrodni w stosunku do mnie spełnionej: boś mi dał odczuć zanadto dobitnie, że miłość wasza wraz z ciałem mojem w proch się rozsypie... Może to jest naturalne, może to się dzieje zawsze, może jabym nie była pod tym względem lepsza, ale niemniej — ciągnęła złamanym głosem — to jest bardzo bolesne dla tych, co odchodzą...

Lili umilkła i jakby nagle silnie przygasła. Było to ostatnie jej wyznanie i jakby ostatni błysk pełni sił ducha, po którym nastąpił straszny upadek.

Wezwani lekarze zastosowali czysto symptomatyczne środki, przyznając, że są bezsilni.

Lili zaczęły napastować dziwne trwogi tak, że ciągle Brunon, lub Stefan musieli być obecni.

Nie otwierając oczu, czepiała się ich rąk, poznając na ślepo ich dłonie.

Gdy trzymali ją obaj za ręce, uspakajała się i zapadała jakby w letargiczny sen.

Chwilami budziła się blada, jakby czemś przerażona, szeptała błagalnie:

— Trzymajcie mnie, bym nie umarła!

A potem nachodziły ją wspomnienia z dawnych, dziecinnych lat: wzywała imienia matki, przyczem twarz jej przybierała wyraz tak słodki, dziewczęcy, że nie mogli powstrzymać się od łez. W tych wspólnie przeżywanych uczuciach trwogi i bólu zadzierzgnął się między nimi ścisły, serdeczny węzeł, o którym marzyła Lili.

Szczególnie ciężkie były dla nich chwile, gdy rozwartemi szeroko, zgorączkowanemi źrenicami wpatrywała się tak silnie w ich twarze, jakgdyby je chciała utrwalić w oczach na wieki, wyuczyć się na pamięć, by nie zapomnieć nigdy i poznać choćby po latach...

W tem jej spojrzeniu dostrzegali jakąś otchłań zrozpaczonej miłości i straszne sygnały rozstania.

Starali się nie odstępować jej ani na krok. Brunon przestał bywać w biurze i załatwiał interesantów przez telefon, lub w domu. Któregoś razu, gdy poszedł wezwany do telefonu, Lili, która wydawała się śpiąca, raptem podniosła się.

— Stefanie, gdzie Brunon?! — krzyknęła niezwykle doniosłym i przeraźliwym głosem.

A gdy wpadł przerażony Brunon, chwyciła ich obu za ręce, wyprężyła się, wstrząsnęła się i upadła na poduszki bezwładnie. Twarz jej zrobiła się kredowo-blada, a z rąk począł w ich dłonie sączyć się mogilny chłód.

— Brunonie, co to jest?! — począł jąkać Stefan.

Twarz Brunona stała się szara, jakby kamienna, delikatne, jak płatki, jej ręce złożył na piersiach i wyrzekł:

— Nie żyje.

Stefan padł przy jej łożu na kolana i począł szlochać, Brunon siedział długo, jak zdrętwiały, patrząc na jej cudne zwłoki tak piękne jeszcze, tak blizkie sercu, a tak straszne w swej absolutnej obojętności...

Wreszcie podniósł się, włożył palto i wyszedł zająć się sprawą pogrzebu, który wypadł wspaniale. W powodzi świateł i kwiatów na katafalku marmurowo-biała nie wyglądała na umarłą, lecz tylko na zastygłą, a subtelna jej twarz przybrała wyraz trochę ostry i niepowszednio poważny.

Konduktowi towarzyszyło wiele osób życzliwych i ciekawych, których intrygowała zwłaszcza osoba dość już głośnego poety.

Gdy zasypano mogiłę, wsiedli obaj do jednej karety i dojechali do domu, nie zamieniwszy z sobą ani słowa.

W chwili wyjazdu poety, przy pożegnaniu, drgnęły ich serca cieplejszem uczuciem, obiecali do siebie pisywać, ale nie napisał żaden.

Znikło to, co ich dzieliło i łączyło i stali się dla siebie zupełnie obojętni.

Smutek z powodu utraty Lili wsiąkał powoli w powieść Stefana, która zyskiwała przez to wiele.

Brunon w nawale zajęć gubił swój ból, który się ostatni raz silnie odezwał, gdy poczęto sadzić drzewa w Anielinie. To też na bibie, urządzonej z tego powodu, był nie w humorze i pił dużo.

Najdłużej pamiętał o Lili stały jej wielbiciel i przyjaciel, Załęski. Stary kawaler, nie mając nikogo blizkiego, odwiedzał dość często jej grób, a powróciwszy z cmentarza wpatrywał się w uśmiechniętą na pięknej fotografii śliczną jej twarz i szeptał:

— Mogłem być szczęśliwy!

KONIEC.

BOLESŁAW ZYGM. LUBICZ.

Pieśń ułanów polskich.

Zastyga w kolumny ma dusza,
Pierzchają płaczliwe upiory —
Błysk sławy. Padł cień pióropusza,
Rży koń i szczękł miecz Wernyhory.
Katedra gotyku śród mgławic,
Szept trwogi w oddali zamiera,
Lśnią kosy sławetnych Racławic,
Lśnią lance z pod Somo-Sierra.
Zawisły i ważą na szali
Nie łzy, ale krople rubinu —
Widnokrąg, widnokrąg się pali,
Spowity wieńcami wawrzynu!
Woń kwietną na głowy nam prószy
Wiosenka... Wiem! Wiosna ta skona...
Marzymy. Przesili się w duszy,
I strzeli reduta Ordona!
Odbiega nas zmora popielisk
I żywot ważymy na grani,
Ojczyźnie z granitu obelisk
Stawiamy...
Ułani! Ułani!

Szarża.

Rubiny krwi rzuciłem w hojnym darze,
lecz w piersi mam płonący wiecznie żar — — —
Wzmożenie sił stokrotne w tym pożarze,
osłabnie lęk i wzlotów rączych czar!...
W słoneczną dal!! Błyszcząca stal pałasza
i nagły zgrzyt, jak sto pękniętych lir.
Zderzenie! Grom! Ten okrzyk: „Górą nasza!"
i ciężki szum — i mroczny ból — i wir!

Więc życia kres?... Dosięgam ducha wzrokiem!...
Kres bujnych chwil, kres wątku szarych dni...
...Wciąż idę wdal ostatnim chwiejnym krokiem —
w rozbitej piersi słońce jeszcze tli!

Rzuciłem siew rubinów w mgłę poranną
i błogo mi, choć życia nieco żal...
Grzmot słyszę znów... To szarża! Pierś mam ranną...
Po moim trupie jeźdzcy pomkną w dal!

Przyjaciel z Urugwaju.

(Zabłąkane wspomnienie).

...Przykuci wspólną niewolą — wśród rozpętanej codopiero burzy narodów—do jednej z plaż bezpiecznej Italii, spotykaliśmy się codziennie na jednej i tej samej ławeczce spacerowej, godzinami całemi zapatrzeni w rozbłękitniony bezkres falującego przed nami cudu natury. Nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Ale obie nasze melancholie nie mogły długo pozostać sobie obojętne. Zagadnęliśmy się razu jednego. On pierwszy to uczynił, zapytując nagle z jakiej jestem ojczyzny?

— Ach, Polonia! — aż krzyknął z ukontentowania. I głos jego zadrgał serdeczną nutą sympatyi...

Z Polski! Polska, Polska!... — powtórzył kilkakrotnie akcentując za każdym razem z rosnącą miękkością.

Spotykaliśmy się potem przez długi szereg dni wspólnego wyczekiwania (o twarda niewolo komunikacyi wojennej!), i codziennie wiedliśmy długie rozmowy; tematem ich była prawie zawsze: Polonia... Młodzieniec biegł wzrokiem roztęsknionym po lazurowej dali morza i ze czcią niemal wymawiał imię ojczyzny swego przygodnego towarzysza. Wyliczał imiona bohaterów, popisywał się zgoła poprawną erudycyą nieszczęsnych dziejów ostatnich lat stupięćdziesięciu naszej historyi i mówił, że kocha nasz naród, jego przeszłość, i kraj nasz, lubo tego ostatniego nie zna i niema nadziei, by kiedykolwiek mógł poznać. Albowiem nareszcie po trzech miesiącach otwiera się przed nim wolność komunikacyi i za parę już dni będzie mógł — o radości! — rzucić Europę i udać się w podróż do swojej ojczyzny.

— Ach, Polonia... — wyszeptał z zachwyceniem, wskazując laską w kierunku rozbłękitnionej dali morskiej.

— Tak, panie, już niedługo: najpóźniej za tydzień odchodzi okręt do Montevideo!

Montevideo? Więc pan aż z Urugwaju?

Tak jest, synu Polski!

Hiszpan?

Tylko z języka, z pochodzenia bowiem — włoch, zaś urugwajczyk z obyczaju, obywatelstwa i upodobania! Prawy urugwajczyk! Patryota urugwajski!

— Czy w Urugwaju wszyscy tak kochacie Polonię?

Patryota urugwajski uśmiechnął się melancholijnie:

— Nie wiem...

Nadszedł wreszcie dzień, który finalnie ukoić miał tęsknotę urugwajczyka, wyzwalając go z niewoli Europy. Okręt z Montevideo przybił tryumfalnie do zatoki wód lazurowych.

— Jak się cieszę, drogi polaku, jak się cieszę! O, Polonia!... Za dwa tygodnie i parę dni — — —

Przed wejściem na pokład, przyjaciel z Urugwaju serdecznie parokrotnie uścisnął mi rękę i pociągając bliżej ku sobie, rzekł swym ciepłym, jakimś hiszpańsko-włoskim dyalektem:

— A wie pan, dlaczego ja tak kocham pańską ojczyznę?

Zaciekawiony, przytrzymałem dłużej rękę żegnającego.

— Dlaczego?

— Bo moja narzeczona ma na imię: Polonia...

...Błękity wód italskich zachybotały słonecznym śmiechem ukontentowania.

B. Gorczyński.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

BĄK.

30

POWIEŚĆ.

ROZDZIAŁ VI.

Usłyszawszy otwierające się drzwi celi, Bąk zwrócił ku nim oczy z leniwą obojętnością. Sądził, że to gubernator przychodzi znów dręczyć go nowem badaniem. Kilku żołnierzy wstępowało po wązkich schodach, karabiny ich obijały się o ścianę, poczem jakiś głos pełen uszanowania wymówił:

— Bardzo tu stromo, Wasza Eminencyo.

Bąk drgnął gwałtownie i opadł na posłanie, dysząc pod uciskiem rzemieni.

Montanelli wszedł z sierżantem i trzema żołnierzami.

— Jeżeli Wasza Eminencya raczy zaczekać chwilkę — zaczął sierżant zakłopotany widocznie. — Jeden z moich ludzi przyniesie krzesło. Poszedł właśnie po nie... Wasza Eminencya wybaczy, gdybyśmy byli uprzedzeni o przybyciu Waszej Eminencyi, bylibyśmy się przygotowali...

— Nie potrzeba żadnych przygotowań. Zostaw nas samych, sierżancie, i czekaj ze swemi ludźmi na dole.

— Słucham, Wasza Eminencyo. Otóż i krzesło. Czy mam je postawić przy tapczanie?

Bąk leżał z zamkniętemi oczyma; ale czuł, że Montanelli patrzy na niego.

— Myślę, że więzień śpi — zaczął sierżant, lecz Bąk otworzył oczy.

— Nie — wymówił.

Żołnierze mieli już opuścić celę, lecz wstrzymał ich nagły okrzyk Montanelli'ego, który, pochyliwszy się nad topczanem, zobaczył, że więzień jest skrępowany.

— Kto to zrobił? — zapytał.

Sierżant zaczął obracać czapkę w rękach.

— To na wyraźny rozkaz gubernatora, Wasza Eminencyo.

— Nie miałem pojęcia o tem, signor Rivarez — rzekł Montanelli wzruszonym głosem.

— Powiedziałem już Waszej Eminencyi — odparł Bąk z twardym uśmiechem, — że nie s...s...spodziewałem się ni...i...i...gdy, żeby mnie głaskano po głowie.

— Sierżancie; od jak dawna to trwa?

— Od czasu ucieczki, Wasza Eminencyo.

— To znaczy, przeszło dwa tygodnie? Przynieś nóż i przetnij to natychmiast.

— Z przeproszeniem Waszej Eminencyi, doktór chciał zdjąć więźniowi rzemienie, ale pułkownik nie pozwolił na to.

— Przynieś nóż natychmiast.

Montanelli nie podniósł głosu, ale żołnierze widzieli, że pobladł z gniewu.

Sierżant wyjął składany nóż z kieszeni i pochylił się, by przeciąć rzemień, krępujący rękę. Nie szło mu to zręcznie i mimowoli tak szarpnął rzemieniem, że Bąk przygryzł wargi i syknął mimowoli. Montanelli przystąpił do tapczana.

— Nie umiesz, sierżancie. Daj mi nóż.

— A-a-a! — westchnął Bąk z głęboką ulgą, wyciągając obolałe ramiona. W chwilę potem Montanelli przeciął rzemienie, krępujące nogi.

— Zdejm kajdany, sierżancie, i zbliż się do mnie. Chcę pomówić z tobą.

Stanął przy oknie odwrócony plecami do wnętrza i czekał, aż sierżant zdjął kajdany i zbliżył się do niego.

— A teraz — rzekł — opowiedz mi wszystko, co się stało.

Sierżant nie dał sobie tego powtarzać dwa razy i opowiedział szczegółowo, co mu było wiadomem o chorobie Bąka i o „łagodnych środkach i o daremnem wstawiennictwie doktora".

— Mnie się zdaje, Wasza Eminencyo — dodał, — że pułkownikowi te rzemienie były potrzebne przy badaniu.

— Przy badaniu?

— Tak, Wasza Eminencyo; onegdaj słyszałem, jak mu obiecywał, że je każe zdjąć, jeżeli mu odpowie na jedno pytanie.

Montanelli zacisnął silnie dłoń spoczywającą na parapecie okna, a żołnierze spojrzeli po sobie. Nigdy jeszcze nie widzieli, żeby łagodny kardynał był tak rozgniewany. Co się tycze Bąka, to ten zapomniał o ich obecności; zapomniał o wszystkiem cały pochłonięty rozkosznem poczuciem swobody. Członki mu zesztywniały zupełnie; więc wyciągnął je teraz, obracając się na wszystkie strony w istnem upojeniu ulgi.

— Możesz odejść teraz, sierżancie — rzekł kardynał. — Nie martw się, myśląc, żeś popełnił jakieś wykroczenie; obowiązkiem twoim było powiedzieć mi wszystko, gdym tego zażądał. Bacz, żeby nam nikt nie

przeszkodził. Wyjdę sam, gdy skończę z nim rozmawiać.

Gdy drzwi zamknęły się za żołnierzami oparł się znowu o parapet okna i patrzył na zachodzące słońce, by dać Bąkowi czas do wytchnienia.

— Słyszałem — rzekł wreszcie, siadając przy tapczanie — że chciałeś pan pomówić ze mną sam na sam. Jeżeli czujesz się pan na siłach do rozmowy, to słucham.

Mówił bardzo chłodno, z pewną, zgoła mu niezwykłą wyniosłością w tonie. Póki skrępowany Bąk był dla niego poprostu ciężko skrzywdzoną i cierpiącą ludzką istotą; lecz teraz przypomniał sobie ostatnią z nim rozmowę i ciężką zniewagę, jaka ją zakończyła.

Bąk spojrzał na niego. Leżał, podłożywszy ramię pod głowę w dziwnie wdzięcznej postawie, co było mu wrodzonym darem i gdy twarz jego tonęła w cieniu, niktby nie odgadł, jak głębokie wody przepłynęły po nim. Ale skoro uniósł trochę głowę, światło gasnącego dnia uwydatniło jego trupią niemal bladość i wypiętnowaną w rysach straszliwą udrękę. Gniew Montanelli'ego rozwiał się bez śladu.

— Musiałeś pan być ciężko chorym — rzekł. — Żałuję, żem o tem wszystkiem nie wiedział. Byłbym temu wcześniej kres położył.

Bąk wzruszył obojętnie ramionami.

— Na wojnie wszystkie środki są dobre. Wasza Eminencya potępia więzy z chrześciańskiego punktu widzenia; ale trudno żądać, żeby pułkownik dzielił Jego zapatrywania. Oczywiście, nie chciałby spróbować tej przyjemności na w...w...własnej skórze; ale temu również dziwić się nie można. Swoją drogą wdzięczny jestem Waszej Eminencyi, że przychylił się do mojej prośby, ale to było może także z chrześciańskiego punktu widzenia... Nawiedzanie więźniów — ach! tak, zapomniałem: „Cokolwiek uczynicie najnędzniejszemu z pomiędzy tych"... nie brzmi to bardzo pochlebnie, ale „najnędzniejszy" jest szczerze wdzięczny.

— Signor Rivarez — przerwał kardynał — przyszedłem tu jedynie ze względu na pana. Gdybyś nie był w tak ciężkiej potrzebie, nie odezwałbym się do ciebie nigdy po tem, coś mi ostatni raz powiedział; ale służy ci podwójny przywilej: chorego i więźnia, więc nie mogłem odmówić wezwaniu. Czy masz mi istotnie coś do powiedzenia, czy też poprostu chciałeś się zabawić znieważając starca?

Nie było odpowiedzi. Bąk odwrócił się; i leżał, przesłaniając ręką oczy.

— Bardzo mi przykro trudzić Waszą Eminencyę — rzekł wreszcie ochrypłym głosem — ale prosiłbym o trochę wody.

Dzbanek stał przy oknie; Montanelli przyniósł go i nalał wody w szklankę. Gdy objął Bąka ramieniem, by go podnieść, uczuł nagle, że chłodne, wilgotne palce zacisnęły się dokoła jego ręki, jak kleszcze.

— Zostań tak Wasza Eminencyo na chwilę—wyszeptał Bąk.—O! cóż ci to szkodzi... Na chwilę tylko!

Opadł na posłanie, kryjąc twarz na ramieniu Montanelli'ego i drżąc od stóp do głów, jak liść.

— Napij się pan trochę wody — rzekł Montanelli po chwili.

Bąk usłuchał w milczeniu, poczem osunął się na tapczan z zamkniętemi oczyma. Sam nie byłby potrafił wytłómaczyć, co się z nim stało, gdy uczuł dotknięcie ręki Montanelli'ego; to tylko wiedział, że nigdy w życiu nie doznał równie silnego wrażenia.

Montanelli przysunął krzesło jeszcze bliżej tapczana i usiadł. Bąk leżał bez ruchu, trupio-blady. Po długiem milczeniu otworzył oczy i utkwił przygasły, upiorny wzrok w Montanelli'm.

— Dziękuję — wyszeptał — Wasza Eminencya pytałeś mnie o coś?

— Nie jesteś pan zdolny do rozmowy, widzę to. Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, postaram się przyjść jutro.

— Proszę Waszą Eminencyę pozostać. Mnie, doprawdy, nic nie jest. Byłem trochę niezdrów temi dniami, choć w połowie było to udane, na złość, jak powie pułkownik, jeżeli go Wasza Eminencya zapyta.

— Wolę dochodzić do wniosków samodzielnie — odpowiedział Montanelli spokojnie.

— Pułkownik również. A czasem, wie Wasza Eminencya, one są ciekawe te jego wnioski. Niktby się tego po nim nie spodziewał, sądząc z pozoru; niemniej kiedy nie-kiedy wpada na dowcipne pomysły. Zeszłego piątku naprzykład — zdaje mi się, że to było w piątek, ale nie jestem pewny; daty pomieszały mi się trochę w głowie — w każdym razie pamiętam dokładnie, że zażądałem dawki opium. Wtedy pułkownik przyszedł tu do mnie i powiedział, że d...d...dostanę, czego żądam, jeżeli mu wyjawię kto o...o...otworzył drzwi z klucza. Pamiętam jego słowa: „Jeżeli pan naprawdę tak cierpisz, to powiesz; jeżeli nie, będę to uważał jako dowód, że u...u...dajesz". Słyszał kto coś równie zabawnego?... to przecież pękać ze śmiechu.

Wybuchnął nagłym, nieprzyjemnym śmiechem, poczem zwracając się do milczącego kardynała ciągnął dalej coraz prędzej i jąkając się tak, że ledwo można go było zrozumieć.

— Wasza Eminencya nie widzi, jakie to zabawne? Oczywiście, wy, lu...u...udzie pobożni, nie macie ani szczypty h...h...humoru; bierzecie w...w...szystko tr...r...agicznie. Naprzykład owej n...n...nocy w Katedrze, jak uroczystą minę miała Wasza Eminencya. Ale i ja, nawiasem mówiąc, m...m...usiałem wyglądać p...p...patetycznie, jako pielgrzym. Założyłbym się, że i teraz Wasza Eminencya nie odczuwa k...k...komizmu obecnej sytuacyi.

Montanelli wstał.

— Przyszedłem, by usłyszeć, co pan mi masz do powiedzenia, ale widzę, że jesteś zanadto podniecony. Doktór powinien ci dać jakiś środek uśmierzający; a jutro pogadamy gdy się pan prześpisz.

— Prześpię się? O... spać będę do syta, gdy Wasza Eminencya przystanie na plan pułkownika, uncya ołowiu jest znakomitym środkiem nasennym.

— Nie rozumiem pana — rzekł Montanelli, zwracając się ku niemu z pomieszaniem.

Bąk znowu wybuchnął śmiechem.

— Wasza Eminencyo! Wasza Eminencyo! p...prawdomówność jest k...k...koroną cnót chrześciańskich. Czy Wasza Eminencya myśli, że nie wiem, jak usilnie gubernator stara się wydębić z Waszej Eminencyi zezwolenie na sąd wojenny? I, doprawdy, czemu go nie dać? Wasza Eminencya sprawi tem tak wiele dobrego, a tak mało złego! Doprawdy! rzecz nie warta tych wszystkich bezsennych nocy Waszej Eminencyi.

— Zaprzestań się pan śmiać — przerwał Montanelli — i powiedz mi, jaką drogą dowiedziałeś się o tem wszystkiem? Kto panu o tem mówił?

— Alboż pułkownik nie powiedział Waszej Eminencyi, że nie jestem człowiekiem, a dyabłem? Nie? Bo mnie to już tyle razy powtórzył! Otóż, mam w sobie dostatecznie dyabelstwa, by odgadnąć potrosze, co ludzie myślą. Wasza Eminencya myśli, że ma ze mną kłopot i byłaby rada, aby ktoś inny rozstrzygnął, co się ma ze mną stać, nie wciągając w tę sprawę wrażliwego sumienia Waszej Eminencyi. Alboż nie zgadłem?

— Posłuchaj mnie pan — rzekł Montanelli, siadając znowu z twarzą bardzo poważną. — Mniejsza z tem, jaką drogą dowiedziałeś się o tem wszystkiem, ale to jest prawda. Pułkownik Ferrari obawia się nowej próby uwolnienia pana ze strony twoich przyjaciół i chce zapobiedz temu w sposób, o jakim pan nadmieniłeś. Widzisz pan, że jestem zupełnie szczerym z tobą.

— Wasza Eminencya słynęła zawsze z p...p...prawdomówności — wtrącił Bąk z goryczą.

— Wiadomo panu, oczywiście— ciągnął dalej Montanelli — że prawnie biorąc, nie mam żadnej władzy w sprawach doczesnych. Jestem Biskupem a nie Legatem. Ale posiadam wielki wpływ na tutejszych mieszkańców i pułkownik nie odważyłby się na tak ostateczny krok bez mego biernego przynajmniej, zezwolenia. Dotychczas opierałem się temu bezwarunkowo; on jednak chce zwalczyć mój opór, zapewniając mnie, iż należy obawiać się zbrojnego napadu w Boże Ciało, kiedy na procesyę

zgromadzą się tłumy, i że dojdzie wtedy do rozlewu krwi. Słuchasz mnie pan?

Bąk, który patrzył z roztargnieniem w okno, obejrzał się i odpowiedział znużonym głosem:

— Tak; słucham.

— Może istotnie nie czujesz się pan na siłach do tej rozmowy. Czy mam przyjść jutro? To rzecz bardzo ważna i wymagająca wielkiego skupienia ze strony pana.

— Wolałbym skończyć z tem teraz — odparł Bąk tym samym tonem. — Słucham Waszą Eminencyę bardzo uważnie.

— Otóż, jeżeli prawdą jest — ciągnął dalej Montanelli, — że zachodzi istotne niebezpieczeństwo rozruchów i rozlewu krwi z przyczyny pana, ja, opierając się pułkownikowi, biorę na siebie straszną odpowiedzialność, a przypuszczam, że pułkownik nie okłamywałby mnie rozmyślnie. Z drugiej strony, skłonny jestem mniemać, że osobista niechęć względem pana czyni go poniekąd stronnym i przeceniającym niebezpieczeństwo. To, com teraz zobaczył — tu spojrzał na leżące na ziemi kajdany i rzemienie — utwierdza mnie w tem mniemaniu.

Umilkł i po chwili mówił dalej:

— Jeżeli przystanę, zabiją pana; jeżeli odmówię, ryzykuję życie wielu może niewinnych ludzi. Rozważyłem tę sprawę wszechstronnie, szukając wyjścia z tej okropnej alternatywy i jestem zdecydowany.

— Zabić mnie, a ocalić niewinnych ludzi — oczywiście, to jedyna droga wyjścia dla chrześcianina. ..Jeżeli twoja prawa ręka obrazi cię" etc... Nie mam zaszczytu być prawą ręką Waszej Eminencyi, a obraziłem ją, więc w...w...wniosek łatwy. Czy Wasza Eminencya nie mogła mi powiedzieć tego bez tylu omówień?

Bąk mówił z pogardliwą obojętnością człowieka, którego cała ta sprawa znudziła ostatecznie.

— I cóż? — dodał po chwili. — Czy taką jest decyzya Waszej Eminencyi?

— Nie.

Bąk zmienił postawę; podłożył obie ręce pod głowę i spojrzał na Montanelli'ego przymkniętemi oczyma. Kardynał siedział z głową zwieszoną na piersi w głębokiej zadumie, uderzając zlekka dłonią o poręcz krzesła. Ach! ten dawny, tak dobrze znany gest!

— Postanowiłem — rzekł, podnosząc wreszcie głowę — postąpić w sposób zgoła niepraktykowany. Gdy mi powiedziano, że pan chcesz widzieć się ze mną, postanowiłem przyjść tu, powiedzieć panu wszystko i oddać tę sprawę w pańskie ręce.

— W moje — ręce?

— Signor Rivarez; nie przyszedłem tu jako kardynał, ani jako sędzia; przyszedłem jako człowiek do drugiego człowieka. Nie pytam, czy panu wiadomo, że przygotowuje się coś w rodzaju tego, czego pułkownik się lęka. Rozumiem doskonale, że jeżeli pan wiesz, to jest pańska tajemnica i tej mi nie wyjawisz. Ale, proszę, byś się postawił na mojem miejscu. Jestem stary i zapewne niedługo już pożyję. Chciałbym zejść do grobu bez krwi na rękach.

— Czy niema jej dotychczas Wasza Eminencya?

Montanelli pobladł jeszcze bardziej; ale ciągnął dalej spokojnie:

— Przez całe życie zwalczałem ucisk i okrucieństwo, gdziekolwiek się na nie natknąłem. Byłem zawsze przeciwnikiem kary śmierci, we wszystkich jej formach; protestowałem ciągle przeciwko wojskowym komisyom, wskutek czego popadłem nawet w niełaskę za poprzedniego panowania. Wszelkie wpływy i władzę jaką posiadam używałem zawsze dotychczas na rzecz miłosierdzia. Wierzaj mi pan, że mówię prawdę. A teraz oto znalazłem się w takiem położeniu. Odmawiając, narażam miasto na niebezpieczeństwo rozruchów i wszystkich ich konsekwencyi, a to dla uratowania życia człowieka, który bluźnił przeciwko mojej religii, który spotwarzał, znieważał i krzywdził mnie osobiście (chociaż to w porównaniu jest drobnostką), i który, jestem o tem głęboko przekonany, uczyni zły użytek z tego życia, jeżeli mu się je zachowa. Ale, niemniej chodzi tu o uratowanie ludzkiego życia.

Umilkł na chwilę i ciągnął dalej.

— Signor Rivarez, wszystko, co wiem o pana poprzedniej działalności, wydaje mi się złem i szkodliwem; charakter pana uważałem zdawna za gwałtowny, niespokojny i z niczem się nie liczący. Do pewnego stopnia zachowałem tę opinię po dziś dzień. Ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni przekonałem się, że jesteś pan mężnym człowiekiem i umiesz dochowywać wierności swoim przyjaciołom. Dokazałeś tego, że żołnierze wielbią cię i kochają; a to się nie każdemu udać może. Myślę więc, że może sądziłem pana niesprawiedliwie, i że w gruncie jesteś pan lepszym, niż się na zewnątrz okazujesz. Otóż odwołuję się do tego lepszego, pańskiego ja, i uroczyście wzywam pana, abyś mi powiedział szczerze, co byś — będąc na mojem miejscu uczynił?

Nastąpiło długie milczenie; poczem Bąk podniósł głowę i spojrzał na kardynała.

— Ja? Ja przynajmniej rozstrzygnąłbym sam za siebie i przyjął skutki moich czynów. Nie zwracałbym się do innych w tchórzliwy, chrześciański sposób, żebrząc, by mnie wyręczali w trudnościach.

Wybuch ten był tak nagły, a jego nadzwyczajna gwałtowność i namiętność stanowiły tak uderzające przeciwieństwo z poprzednią, udaną obojętnością, że wyglądało to tak, jakgdyby człowiek ten zrzucił wreszcie maskę.

— I *ty*, księże, mówisz o okrucieństwie! Ależ ten błazen z oślą głową nie mógłby mnie tyle udręczyć, co ty, choćby przez rok się na to silił. Wszystko, co może wymyślić, to, oto te kajdany i rzemienie. Każdy dureń to potrafi. Ale ty! — — „Podpisz sam na siebie wyrok śmierci; bo mnie na to moje czułe serce nie pozwala". Powinienem był widzieć naprzód, gdyś tu wszedł, jak anioł miłosierdzia, tak oburzony na barbarzyństwo pułkownika, że teraz dopiero się zacznie prawdziwa męka. No? czemu patrzysz na mnie w ten sposób? Ależ, oczywiście, daj zezwolenie; a potem idź na obiad; cała rzecz nie warta tyle zachodu! Powiedz twojemu pułkownikowi, by mnie kazał rozstrzelać, albo powiesić, albo upiec żywcem, jeżeli go to zabawi i niech się to raz skończy!

Bąk był zmieniony nie do poznania; dyszał i trząsł się z wściekłości i rozpaczy; oczy świeciły mu zielonawym ogniem, jak oczy kota.

Montanelli powstał i patrzył na niego w milczeniu. Nie rozumiał powodu tych gwałtownych wyrzutów; ale rozumiał jaka ostateczność je podyktowała; a to zrozumiawszy przebaczył wszystkie doznane zniewagi.

— Uspokój się pan — rzekł — nie chciałem cię tak boleśnie dotknąć. Bóg widzi, nie było moim zamiarem zwalać mego ciężaru na ciebie, który masz już tyle do dźwigania. Nigdy tego w życiu nie uczyniłem.

— To kłamstwo! — krzyknął Bąk z zaiskrzonemi oczyma. — A biskupstwo?

— Co? — Biskupstwo?

— A! Zapomniałeś o tem, księże! To tak łatwo zapomnieć! „Jeżeli chcesz, Arturze, napiszę, że nie mogę jechać". Ja miałem decydować o twojem życiu! Ja — dziewiętnastoletni chłopak! Gdyby to nie było tak ohydne, to możnaby pęknąć ze śmiechu.

— Przestań!

Montanelli podniósł obie ręce do głowy z rozpaczliwym okrzykiem i wnet je opuścił. Zwolna podszedł do okna, usiadł na parapecie i oparł czoło o kraty. Bąk leżał patrząc na niego i drżał, jak listek.

Po niejakim czasie Montanelli wstał blady, jak płótno.

— Przepraszam — rzekł, usiłując napróżno zachować zwykły spokój — muszę wracać do domu. Czuję się niezdrów.

Dalszy ciąg nastąpi.

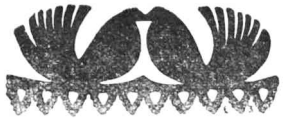

Jedyna przygoda panny Wiecówny.

Śliczna panna Lili o starannie wyszlifowanych paznokietkach i zalotnych, jasnych ślepkach, szczęśliwie przebyła przez chorobę „sanitarną" i „bezdomną". Przez jakiś czas żywo interesowała się sprawą milicyi. Nie omieszkała wesprzeć swoją miłą osóbką i żołnierzy polskich. Była obecną na wszystkich popisach skautów. Stale jednak wracała z niczem do domu. Piękne oczęta pokrywała mgła smutku i niewypowiedzianej tęsknoty. Już przypuszczali znajomi i życzliwi, że tęsknota ta zrealizowała się w rosłym tennismajstrze z Agrykoli. Ale gdzietam! Był to pozór słaby i niegodny zastanowienia.

Zalotne ślepki patrzyły matowo, zato lśniły paznokietki, jak ongiś niezarekwirowane tace z miedzi. Rozchylały się usta maleńkie, jarzębinowe. I płynęły słowa niezmiernie przyzwoite, bardzo wytresowane i zawsze w gorsetach dobrego ułożenia tkwiące. Zresztą panna Lili miała reputacyę nienaganną, choć ciekawość życia szalała w niej i nieraz prowadziła w zaczarowany kraj baśni. Łatwo przejmowała się przytem — ale i prędko zapominała.

Aż tu nowość niesłychana. We wszystkich pismach, na rogach ulic obwieszczenia, we wszystkich domach znajomych omawiają tylko wybory i wiece. Panna Lili wnet zdecydowała, że nie opuści żadnego wiecu. Od samego ranka pobiegła do jednego komitetu i wydostała bilety wejściowe. W innym nie odmówiono jej, choć obywatel rozdający miał skrupuły natury prawnej. Obywatelskie wiece nie porwały jednak panny Lili. Dopiero wielkie mittyngi dzielnicowe, na Pradze, w Mokotowie czy na Woli rozgrzały na dobre zainteresowanie panny Lili dla towarzyszy i to szczególniej dla jednego przemawiającego. Od tej chwili zjawiała się na każdym wiecu socyalistów w pięknym, letnim, białym kostyumie i wsłuchiwała się w litanię podłości mieszczańskich, burżuazyjnych, kapitalistycznych.

Jasne oczy patrzyły obojętnie. Tylko różowe nozdrza rozchylały się, jak kielichy kwiatów i pierś falowała szybciej.

Podobały się jej odważne słowa zapalnych młodzieńców, budujących życie śmiałe, bez żadnych kłamstw konwencyonalnych. Jaki to był inny o szerokim, bohaterskim tchnieniu świat! Napewno mamusia wydrwiłaby te piękne, mądre słowa. Ale Lili od czegóż jest młodą i młodością silna! Gwałtownie chciała przytem poznać odważnego i przystępnego agitatora. Długo wahała się.

Wreszcie wzięła na odwagę i napisała list krótki: „Przyjdź chłopcze drogi do Łazienek. Jutro o g. 6 popołudniu. Nie zważaj na deszcz czy niepogodę. Twoja Lili Wiecówna".

Drogi chłopiec list odczytał z zainteresowaniem. Wprawdzie o szóstej miał „gadać" na szosie górczewskiej, ale po dokładnym rozrachunku sumienia i czasu pobiegł na spotkanie.

Słońce jasne kładło srebro swego uroku na stare drzewa i krzewy.

Panna Wiecówna czekała już o szóstej w umówionem miejscu. Zaczepiła drogiego chłopca pierwsza:

— To ja panie czekam na pana — i wyciągnęła drobną rączkę na przywitanie.

— Jestem Stanisław... — przedstawić się nieomieszkał, na co usłyszał odpowiedź:

— Wszystko mi jedno. Nazywam się Lili Wiecówna, gdyż chodzę na wiece słuchać pana.

Schylił głowę na znak wdzięczności. Lili odważnie zagabnęła:

— Gdzie pójdziemy?

— Gdzie pani każe?

— Do pana...

Zgłupiał odważny agitator na tak śmiałe wyznanie. Zaróżowiły się mu policzki od wstydu czy nieoczekiwanej propozycyi. Nic nie odpowiedział. Stracił zupełnie kontenans. Spojrzał z podełba na śliczną Lili i uważał, że na taką propozycyę godnie odpowie tylko jednem słowem: kocham. Po chwili namysłu i męczącego milczenia wybrał ewentualność inną. Nic nie mówiąc, skłonił się nieśmiało kapelusikiem i... drapnął.

Tak skończyła się pierwsza przygoda pięknej panny Lili. Wracała do domu zirytowana. Już więcej na żaden wiec nie pójdzie!

Firlej.

Czasy sądownictwa rosyjskiego w Warszawie.

Znany historyk, ukrywający się pod kryptonimem Alkara, ogłosił interesujące „Kartki z pamiętnika starego mecenasa" p. t. „Czasy sądownictwa rosyjskiego w Warszawie" od 1876—1915 r. Wspomnienie to zainteresuje szeroki ogół. Sądownictwo polskie zniesione ukazem Aleksandra II oddało władzę przybyszom ze Wschodu, ludziom nie znającym zupełnie stosunków miejscowych, no i prawnie nie zawsze wykształconym. Sąd miał się stać narzędziem rusyfikacyi. Szczególnie sądy pokoju miały spełniać dziejową misyę rosyjską nad Wisłą".

O niektórych sędziach, ich zaletach umysłowych, pijaństwie, burdach, łapownictwie, aż roi się w tych wspomnieniach Alkara. Był to przytem sam „kwiat" inteligencyi rosyjskiej, pragnącej przez szykany i donosy dorobić co szybciej rangi. W ostatnich czacach zjawił się dopiero typ adwokata rosyjskiego, przybywającego na gościnne występy do Warszawy. Ongiś też grasowały podobne indywidua. Alkar wspomina niejakiego Nesterowa, adwokata, nieszczęśliwca bez nóg, który, jak mówiono, nie „chadatajstwował", lecz wycierał się po sądach, przesuwając się po podłodze z wężową szybkością. Wspomnienia starego mecenasa w edycyi Alkara są bardzo ciekawym przyczynkiem do historyi sądownictwa rosyjskiego w Polsce.

Rozwój terytoryalny Polski.

W pracach Koła geograficznego wyszła interesująca rozprawa p. Kazimierza Tymienieckiego p. t. „Rozwój terytoryalny Polski". P. Tymieniecki uważa, że „wytworzone historycznie teorytoryum Polski nie jest pozbawione spoistości wewnętrznej, dzięki pomyślnemu układowi systemu rzecznego". Według podziału dziejów, terytoryum Polski rozpatruje p. Tymiecki z punktu widzenia 5 okresów: okres pierwszy sięga do roku 1138, okres drugi trwa do 1386 r., okres trzeci kończy się w 1569, okres czwarty w 1772, a okres piąty jest już za czasów rozbiorowych. Praca ta może zainteresować nietylko fachowców. Jest bardzo jasną w układzie, przez co też doskonale może służyć, jako konspekt niemal dziejów ojczystych.

De profundis.

Powieść St. Przybyszewskiego „De Profundis" zjawiła się w edycyi drugiej, w bardzo gustownej choć skromnej szacie wydawniczej. Miłośnicy talentu Przybyszewskiego będą mogli łatwo ją nabyć obecnie; za czasów rosyjskich była zabronioną przez cenzurę. Jest to jedna z pierwszych prac autora „Dla szczęścia". Nie zestarzała się zupełnie i choć czas nasunął cały szereg zainteresowań o zupełnie innem zabarwieniu, czyta się tę powieść-poemat z niesłabnącą uwagą.

Kalendarz uniwersytecki.

Na semestr letni opracował dr. Jan Mieszkowski Kalendarz uniwersytecki, w którym zawarł wszystkie najcenniejsze informacye dotyczące wszechnicy naszej warszawskiej. Na wstępie zamieszczono treściwą historyę uniwersytetu warszawskiego (1816—1915). Uroczystość otwarcia uniwersytetu w dn. 15 listopada 1915 r. została też szczegółowo omówiona. Statut tymczasowy uniwersytetu warszawskiego oraz przepisy dla studentów wraz z odezwą rektora uzupełniają informacye kalendarza. Rozumie się, że w kalendarzu załączono też wykaz opłat, adresy władz i profesorów uniwersyteckich, jak również i adresy wszystkich studentów. Dla osób zainteresowanych Kalendarz ten jest cennym przewodnikiem informacyjnym.

Podręcznik gospodarstwa wiejskiego.

Centralne Tow. Rolnicze w Królestwie Polskiem wydało bardzo cenny podręcznik gospodarstwa wiejskiego. Tom pierwszy zawiera sprawy dotyczące produkcyi rolniczej. Opracowaniem tego tomu zajmowali się pp. inż. Stefan Biedrzycki, dr. Sławomir Miklaszewski, dr. Antoni Sempołowski, inż. Czesław Skotnicki, prof. Witold Staniszkis i Wacław Smosarski. Książka ta zjawia się bardzo na czasie. Rolnictwo nasze, zniszczone przez huragan wojenny, wymaga dużo wiedzy fachowej, rozwagi i zastanowienia, by powrócono je do dawnego rozkwitu. „Podręcznik gospodarstwa wiejskiego" powinien spełnić taką rolę pomocniczą znakomicie.

Za zezwoleniem Wojennej Cenzury Wojennej

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

KUL